

Jan Miodek\*

UNIWERSYTET WROCŁAWSKI

## *Polszczyzna lat 1918–2018*<sup>1</sup>

Jestem wielkim miłośnikiem onomastyki, dlatego też na rozpoczęcie tego wykładu pozwolę sobie na onomastyczną wycieczkę

Przybywam do Krosna, którego nazwę wiele osób kojarzy z tkactwem, czemu sprzyjają faktycznie istniejące tu warsztaty rzemieślnicze. Tymczasem Krosno pod względem onomastycznym nie ma z tkactwem nic wspólnego, choć tak by podpowiadała nomenklatura współczesna. Jest to nazwa topograficzna, nawiązująca do realiów terenowych. Chyba najbliższej pod tym względem Krosnu do położonego na skarpie śląskiego Barda. Obie nazwy pokazują też, że myślenie metaforyczne jest immanentną cechą każdego języka. My nie dostrzegamy już metafory w prozaicznych określeniach. Cóż bardziej prozaicznego jak okno, dziura w murze, przez którą patrzymy na świat. Ale kiedy sobie uświadomimy, że w oknie tkwi ten sam rdzeń, co w oku, to dostrzeżemy w tej nazwie samą poezję – źródłem nazwania tej dziury w murze był nasz narząd wzroku, a zatem okno, to jakby oko muru, przez które patrzy się tak samo, jak okiem. I teraz przeskakuję do Krosna. Oto wypustka na ciele,

---

1 Artykuł stanowi zapis wykładu wygłoszonego w Krośnie 30 maja 2019, z okazji jubileuszu 20-lecia Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Stanisława Pigonia.

\* **Prof. dr hab. Jan Miodek** – polonista, językoznawca, wykładowca Uniwersytetu Wrocławskiego, wybitny znawca polszczyzny, popularyzator wiedzy o języku polskim, autor licznych monografii, artykułów, dotyczących przede wszystkim zagadnień poprawności językowej i stylistycznej, zróżnicowania współczesnej polszczyzny oraz dokonujących się w niej przemian.

w postaci brodawki, krosty – nic miłego, proza życia – wypukłość na skórze prowokowała naszych przodków, by miejscowości położone na wzgórzach, wśród wzgórz się znajdujące nazwać metaforycznie, nawiązując do owych skórnych wypukłości. Tak powstało Bardo i – w skojarzeniu z krostą – narodziło się pierwotnie Krostno. Grupa głoskowa -stn- została uproszczona i pojawiło się, prostsze w odmianie, Krosno, kojarzące się dziś z maszyną tkacką – ale jest to fałszywa motywacja słowotwórcza.

W Krośnie jest zaś kaplica Oświęcimów. Było bowiem w staropolszczyźnie takie imię osobowe jak Oświęcim, podobnie jak Bytom, Radom, Wrocław – po ściągnięciu Wrocław – i był jeszcze w staropolszczyźnie przyrostek „-jb”, dzięki któremu można było stworzyć nazwy miejscowe. Nie zachował on się do czasów piśmienniczych, ale pozostawił ślad w postaci miękkości wygłosowych spółgłosek wargowych. Gdybyśmy się urodzili dwieście pięćdziesiąt lat wcześniej, to moglibyśmy usłyszeć, że nad Sołą leży „Oświęcimji”, a w centralnej Polsce „Radomji”. Dopiero w XVIII wieku te spółgłoski wygłosowe stwardniały ostatecznie. Ale od dopełniacza pojawia się miękka spółgłoska – pozostałość po tej właśnie głosce z czasów przedpiśmiennych.

Główny temat dzisiejszego wykładu to jednak polszczyzna lat 1918–2018. Jaka zatem była polszczyzna w roku 1918, kiedy Polska wróciła na mapy Europy, gdy wydarzyła się nam niepodległość? Powiedzieć można, że polszczyzna wróciła z Polską w stanie praktycznie nienaruszonym. Po pierwsze sto – sto pięćdziesiąt lat w historii języka, to jest dosłownie błysk. Za dużym byliśmy liczebnie narodem, żeby polszczyzna miała zniknąć. Nie było nigdy tak, że warstwy inteligentkie, oświecone, już się zrusyfikowały, czy zgermanizowały, a tylko lud przechował polszczyznę. Nie, pod tym względem też nic językowi polskiemu nie zagrażało. Mieliśmy bardzo silne elity polszczyznę pielęgnujące, mieliśmy wspaniałych twórców, wielkie osobowości, z Mickiewiczem, Słowackim, Krasińskim, Norwidem na czele. Bardzo silny w tym zakątku Europy był nurt samoświadomości narodowo-językowej. Budziły się wtedy językowo takie narody, jak Słowacy, Czesi. Tam zagrożenie było silniejsze niż u nas. Bo te ruchy były nieco napędzane panslawizmem, związanym z dominacją Rosji. Ale wszystkie te elementy pracowały na utrzymanie polszczyzny, a że nie mieliśmy własnego bytu państwowego, to te postawy „dmuchające i chuchające na język”, bo tylko on się ostał, rodziły wręcz pewne przedobrzeństwo, nadgorliwość, w postaci językowego puryzmu, czyli przesadnej dbałości o czystość języka. Właśnie owi puryści, w szlachetnych intencjach – ale żaden fanatyzm nie jest dobry, również ten językowy – kwestionowali nawet słowo uniwersytet – jako międzynarodowe, wymyślili więc wszechnicę. Poniekąd im się udało. Wszechnica, dzięki Bogu, uniwersytetu nie wyparła, ale weszła do słownika jako określenie przedsięwzięcia o charakterze dydaktycznym. Pamiętam przykładowo wykłady Wszechnicy Radiowej. Czasy były trudne, powojenne, potrzebowaliśmy nowej inteligencji, więc takie kursy rozgłoszenia Polskiego Radia prowadziła. Ale uniwersytet się ostał. Niektórym nawet zawadzały łacińskie terminy matematyczne, z trygonometrii chciano na przykład wyrzucić sinus i cosinus, zastępując je wstawą i dostawą, na szczęście się nie udało i mamy dalej sinus i cosinus. To próbka takich pocyznań.



Prof. Jan Miodek i rektor Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Stanisława Pigońki prof. Grzegorz Przebinda

Oczywiście, trzeba sobie powiedzieć, że ludzie, których życie upłynęło w zaborze rosyjskim, austriackim czy pruskim, nosili w sobie, jako warianty zachowań komunikacyjnych, na ogół doskonałą znajomość języka rosyjskiego czy niemieckiego. Więc w ich codziennym języku więcej było wtrętów rosyjskich czy niemieckich. Może, gdy ktoś miał czegoś dosyć, powiedział sobie „chwatit”, a w Poznańskim z kolei – „genug” – wystarczy. Może komuś przez całe życie łatwiej było liczyć „Eins, zwei, drei...”, na przykład licytując w skata, narodową grę karcianą Górnego Śląska.

Nie możemy zapominać, że mieliśmy 388 tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni kraju, a jego kształt był zupełnie inny niż obecnie i zupełnie innych mieliśmy sąsiadów. Nie możemy też zapominać, że ówczesna Polska to była mieszanica etniczna, z licznymi mniejszościami, przede wszystkim żydowską, niemiecką, rusińską – czy, jak by się dziś powiedziało – ukraińską, z mniejszością litewską, tatarską, romską. I przedstawiciele tych narodowości, choć posługiwali się oczywiście językiem polskim, kultywowali też swoje języki, przykładowo mniejszość żydowska mówiła w jidysz.

Poza tym w latach międzywojennych gwara poszczególnych dialektów: małopolskiego czy wielkopolskiego była językiem codziennym osiemdziesięciu procent Polaków. Tak zwana polszczyzna literacka, to był język odświętny: język szkoły, radia, kościoła, urzędu. Konieczność przechodzenia z gwary na język literacki to był dla tych osiemdziesięciu procent prawdziwy mozół i trud. To wręcz trudno sobie dziś wyobrazić. Prowadziło to również do hiperpoprawności. Miałem ciotkę, która do końca życia chodziła „na grzeby”, bo myślała, że z grzybami jest taka sama sytuacja jak z gwarowym syrem, chlybem, mlikiem, a ona chciała mówić „po pańsku”...

Zaczął się też wówczas proces maskulinizacji nazw żeńskich, to znaczy traktowania kobiet słowotwórczo po męsku, zaczęło się odchodzenie od nazwisk żeńskich, które do tej pory musiały posiadać obligatoryjny wykładnik formalny swej feminitywności. Pani musiała nazywać się Miodkowa czy Nowakowa, a jak mąż miał na nazwisko Przebinda czy Sapięha, to żona musiała być Przebindziną czy Sapięzyną. A wszystkie dziewczyny, córki, to były Miodkówne czy Nowakówne, a jak tato miał nazwisko kończące się na -a, to dziewczynę, na przykład do szkolnego dziennika wpisywano jako Przebindziankę czy Sapięzankę. W niektórych przypadkach pojawiały się ogromne odkształcenia morfologiczne – i dlatego też te formy zanikały. A poza tym z jakiej racji kobieta ma informować o swoim stanie matrymonialnym.

Ale również wtedy pojawiły się panie z funkcją prezesa czy naczelnika, profesora i ministra. I zadawano sobie pytanie, jakie formy powinno się tworzyć? Wtedy właśnie się te zjawiska zaczęły.

Okres lat 1939–1945 to był straszny czas, nocy okupacji po agresji z dwóch stron. I właściwie znów nie ma Polski, jest państwo podziemne, a do języka tamtych czasów wchodzi słownictwo wojennych realiów, od sztukasów, messerschmittów, po łapanki, gestapo, palcówki, wywózki, łagry, lagry.

Ja, który doskonale pamiętam 13 grudnia 1981 roku, gdy, chcąc zdusić Solidarność, wprowadzono w Polsce stan wojenny, widziałem, jak to słownictwo z lat wojennych odżyło, bo mieliśmy godzinę milicyjną, a co odważniejsi, na wezwanie patrolu milicyjnego do okazania dowodu osobistego, potrafili powiedzieć, „A co, moją Kenkartę chcecie zobaczyć?”

Ale szczęśliwie lata okupacji przeminęły. I wróciliśmy w 1945 roku do Polski, oczywiście nie całkiem wolnej, bo podporządkowanej i militarnej, i gospodarczo, i politycznie Związkowi Radzieckiemu, ale jednak nie staliśmy się kolejną republiką, byliśmy Polską Rzeczpospolitą Ludową. Jakoś trzeba było żyć, mieliśmy swoje smutki, swoje biedy, ale byliśmy młodzi, więc mieliśmy też swoje przyjaźnie, miłości, fascynacje. Paradoksalnie, kultura, choć pod cenzurą, nasycana była wspaniałymi treściami, polska telewizja tego czasu była czymś wyjątkowym, z teatrami telewizji na czele. Więc jakoś do tego 1989 roku dotrwaliśmy, chociaż to nasze trwanie było przetykane strasznymi, krwawymi wydarzeniami, a to w Poznaniu, a to w 1968, z przejawami antysemityzmu, a potem tragedia Wybrzeża, a potem ponure miesiące i dni stanu wojennego. Ale jakoś przeżyliśmy. A w języku?

Przybyło wtedy co niemiara terminów zawodowych, mnożyły się miejsca pracy, urzędnicy. Rekordy popularności były takie przyrostki słowotwórcze jak -nia i -arka. Ten pierwszy, tworzący tak zwane nomina loci, czyli nazwy pomieszczeń, ten drugi nazwy narzędzi, nomina instrumenti: pogłębiarka, tokarka, pogolarzka i niszcarkę. Mówi się, że słownictwa branżowego przybyło w granicach miliona.

Oczywiście ten okres, 1945–1989, wniósł też do polszczyzny zupełnie archaiczne dziś słownictwo. U schyłku tych lat, soboty wolne albo pracujące, bony, kartki, a jeszcze my, starsi, pamiętamy, a to plan sześcioletni, a to polityka „bodźców eko-



Prof. Jan Miodek

nomicznych”, wprowadzona jeszcze za Gomułki. Pamiętamy slogany – „jedność moralno-polityczną narodu polskiego”, zbitki słowne.

I tak to trwało do 1989 roku, ale to już były czasy Solidarności, strajków, które nazywane były „przerwami w pracy”. A potężny sąsiad ze wschodu przeżywał czasy pierestrojki i głośności. I wreszcie, powiem za Józefem Tischnerem, „narodziła się nam wolność”.

A najnowsza polszczyzna, po roku 1989? Co najistotniejszego się wydarzyło? Uważam, że tempo współczesnego życia jest tak zawrotne, że lata 1989 do dziś to czas większego przewrotu – mówiąc metaforycznie – kopernikańskiego, niż lata 1918–1989.

Oczywiście, na skutek zmiany sytuacji geopolitycznej, jesteśmy członkiem Unii Europejskiej, NATO, skończył się Układ Warszawski, Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, RWPG, twory państw tak zwanej demokracji ludowej, „ze Związkiem Radzieckim na czele”.

Z tą zmianą sytuacji Polski przyszedł czas dominacji angielszczyzny, która zastąpiła, przez lata najlepiej znane, języki rosyjski czy niemiecki. A jest to także związane z najbardziej „kopernikańskim” zjawiskiem komunikacyjnym, jakim jest wprowadzenie nas wszystkich w krąg rzeczywistości elektronicznej. To jest rewolucja komunikacyjna. Jaki model słowotwórczy dziś dominuje? E-... – pod te trzy kropki można podstawić, co się komuś podoba i przeważnie się trafi, czy to będzie e-Krosno, e-książki, e-faktury. A wszystko zaczęło się od e-maila.

Wyobraźnię mojego pokolenia kształtowały radio, telewizja, kino, dzisiaj wyobraźnię młodego pokolenia kieruje elektronika, współczesne media. Nie dziwny się, że elektroniczna terminologia jest dzisiejszym środkiem stylistycznym. Proszę zobaczyć

jaką karierę zrobił reset. Termin komputerowy to dziś we współczesnej polszczyźnie synonim odnowienia, przemiany, relaksu, odpoczynku.

Angielskie przerywniki leksykalne stają się najproduktywniejszym środkiem stylistycznym. Jeśli nie przepraszam, to sorry, już tak popularne, że doczekało się derywatów typu sorki, soreńka. I tak mówimy. Jestem cały happy, Było full ludzi, Co za boss. Co za koncert, wow. Taka dominacja angielszczyzny. Niedobra, jeśli kalkuje struktury angielskie, bo mamy przecież rodzime formy. Jeśli więc ktoś mi na pytanie „To Jurek się żeni?”. Czy też: „Spotkamy się jutro o czwartej?”, odpowiada mi wyłącznie „dokładnie, dokładnie”, to dostaję gęziej skórki, bo jest to kalka angielskiego exactly. Jeśli ktoś mnie zawiadamia, że do kontaktów ze mną została dedykowana pani Kowalska, czy kupuję śruby dedykowane do tego typu ścian, to też dostaję gęziej skórki. Bo pod wpływem angielskiego słowo dedykowane zaczyna być używane błędnie w znaczeniu „przeznaczone”.

Ja natomiast, używając tradycyjnej formuły, na pewno dzisiejszy wykład dedykowałem świętującej jubileusz Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Krośnie, gratuluję i życzę wszystkiego najlepszego, niech się tu zawsze dobrze dzieje.